NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 86·45 Marek, Półrocznie 172·90 Mk. Rocznie 345·80 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonparelowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 7 Marek.

Rok XVII. Kraków, 17. lipca 1920. Nr. 29.

Wspaniała manifestacya ludności pomorskiej



Ślubowanie ludności Chełmży: „Nie damy naszej ziemi, tak nam dopomóż Bóg!"...

O śmierć i życie!

Ojczyzna w potrzebie!

Gorzej: Ojczyzna w niebezpieczeństwie!

Zaledwie po półtora wieku niewoli zdołaliśmy zjednoczyć się i rzucić pierwsze podwaliny pod budowę gmachu państwowego, już odwieczny wróg, drapieżca ziem naszych, morderca ciał i dusz całych pokoleń, zgromadził dzikie hordy, żądne krwi i łupu, aby „na cmentarzysku naszem rozpocząć na nowo swe straszne panowanie".

Komuniści moskiewscy, nieodrodni i pojętni uczniowie caratu, potokami krwi zalawszy pierwsze błyski wolności u siebie, niosą nam burzę i zniszczenie, rzeź i niewolę.

Więc cały naród powstaje w obronie siedzib własnych. Więc na hasło rzucone z Warszawy, cała Polska, od stromych szczytów Karpat po sine morze Bałtyku, rozbrzmiewa okrzykiem: do broni!

Pozostawieni sami sobie, opuszczeni przez potęgi kupczące krwią narodów dla zysków handlowych, znowu jak za dawnych czasów stajemy jak mur jednolity, o który mają się rozbić barbarzyńskie tłuszcze, niosące pogrom cywilizacyi i kulturze europejskiej.

Chcąc tego dokonać, musimy zapomnieć o wszelkich dzielących nas różnicach zapatrywań, odłożyć na bok wszelkie walki partyjne, wypruć ze siebie wszelką „żądzę panowania jednych nad drugimi", a wszelkie siły zwrócić ku pomnożeniu zastępu obrońców Ojczyzny, idąc im w pomoc pracą i ofiarnością mienia.

Do broni więc, kto zdrów silny i młody! Precz z samolubstwem, z hańbiącem oszczędzaniem krwi dla świętej sprawy.

Do pracy, komu ciężko broń unieść, ale może siłami fizycznemi i duchowemi, wiedzą, energią i doświadczeniem służyć ojczyźnie.

A wy, którym los oszczędził życiowej troski o jutro, rzucajcie grosz ofiarny, aby żołnierz za was walczący był syty i uzbrojony.

Jeżeli spełnimy swój obowiązek — zwyciężymy. A zwyciężyć musimy, aby nie stać się niewolnikami na własnej ziemi, aby nie zasłużyć na przekleństwo następnych pokoleń.

Żaden wróg nie zgnębi narodu, broniącego zgodnie i ofiarnie przecennego skarbu swej wolności i niepodległości.

Walczmy czem kto może, na co kogo stać — a

Srebrny nasz Orle, już ty nam nie zginiesz —
O dniu swobody, już ty nam nie miniesz.

I z poetą listopadowego powstania wznieśmy korne modły:

O zbaw nas Panie, przyjm żebrzące głosy,
Wzmóż siłę naszą, daj nam zgodę męstwo,
W Twem świętem ręku składamy swe losy:
Daj nam zwycięstwo!

Wspaniała manifestacya ludności pomorskiej.

(Do illustracyi tytułowej.)

Czas wszystko zmienia, czas leczy najboleśniejsze rany.

Jakże zmieniła się fizyognomia Chełmży, przechrzczonej przez Niemców na Kulmsee w ciągu jednego tylko roku! Patrząc dziś na tę pomorską miejscowość i porównując ją z tem, czem była choćby przed rokiem, nikt nawet nie przypuści, że polska dawniejsza Chełmża, to dzisiejsze niemieckie Kulmsee.

W dniu 29 czerwca 1919 r. w sam dzień św. Piotra i Pawła, obchodzili tutejsi Niemcy hakatyści narodową uroczystość, połączoną z pochodem, który jednak wypadł słabo. Wzięła w nim udział niemiecka inteligencya urzędnicza i grupka sympatyków nie tyle z przekonania, ile dla interesu. Polacy w dniu



W rocznicę Grunwaldu: Uczestnicy obchodu w Schronisku dla inwalidów na Woli Justowskiej Gen. Past (X) delegat D. O. G. z Krakowa, pułk. Wereszczyński (X), kom. Schroniska.

tym pozostali w domu nie ciekawi bynajmniej objawów pangermanistycznego patryotyzmu.

Jakże jednak inaczej przedstawiła się oczom widza twarz Chełmży zaledwie w rok później, w dniu 29 czerwca 1920 r. W dniu tym miejscowa ludność polska zamanifestowała swe patryotyczne uczucia i silną wolę, że chce żyć w nierozerwalnym związku ze swą Macierzą, pod opiekuńczemi skrzydłami Białego Orła.

Przed południem począł się grupować na podwórzu szkoły męskiej pochód, złożony z młodzieży szkolnej, korporacyi, starszyzny miejscowej i okolicznej, skąd wyruszył na ulice miasta, które tymczasem zaległy nieprzejrzane tłumy, złożone z przedstawicieli wszystkich stanów. Pochód posuwał się powoli ulicami miasta, wśród dźwięków pieśni patryotycznych, dobywających się z tysięcznych piersi polskiej ludności Pomorza. Serce rosło, gdy się patrzyło na te tłumy, stwierdzające publicznie swą polskość, której im tyle lat odmawiano.

Pod gołem niebem odbył się wiec, na którym przemawiali pp. Bilski i naczelnik miejcowego sądu dr. Głogoczowski, który zakończył wezwaniem do złożenia przysięgi, że: *„nie damy naszej ziemi, tak nam dopomóż Bóg!“.*

Tysiące rąk podniosło się w górę na znak ślubowania, tysiące westchnień uleciało ku niebu, w tysiącach ócz zajaśniały łzy rozrzewnienia... Jeszcze Polska nie zginęła, jak długo ma takich obywateli!

W tych czasach, gdy na nasz biedny kraj spada cios po ciosie, gdy zdaje się, jakoby wszystko sprzysięgło się na naszą zgubę, ta manifestacya wspaniała ludu pomorskiego, to dodanie nowych sił do walki i otucha na przyszłość.

Cześć dzielnej ludności Pomorza, mogącej służyć całemu krajowi za wzór tężyzny narodowej, cześć jej przedstawicielom!...



Pogrzeb ofiary rozboju czeskiego: Złożenie do grobu zwłok śp. prof. Wizimierskiego. Prowadzący kondukt ks. biskup Bandurski (X).

W rocznicę Grunwaldu.

Na bieżący tydzień przypada rocznica wiekopomnej bitwy pod Grunwaldem, nikt się też nie zdziwił, gdy przed kilku dniami pojawiła się w naszych pismach codziennych lakoniczna notatka tej treści:

W rocznicę bitwy pod Grunwaldem odbędzie się w Krakowie staraniem „Straży polskiej“ doroczny obchód. Po nabożeństwie odbędzie się pochód i złożenie wieńców u stóp pomnika Grunwaldzkiego, po południu wycieczka do Niepołomic, celem dalszego sypania Kopca Grunwaldzkiego. Z tej samej okazyi odprawioną będzie w Schronisku dla inwalidów na Woli Justowskiej msza polowa.

Trzeba być jednak bardzo domyślnym, aby odgadnąć, na który dzień ten obchód naznaczono, o której godzinie i w którym kościele ma się odprawić nabożeństwo, skąd wyruszy pochód. Każdy był pewny, że ponieważ u nas wielkie uroczystości odkłada się na niedzielę, stanie się to w dniu 11 lipca.

Spotkał nas jednak zawód. W dniu 11 lipca odprawiono wprawdzie we wszystkich kościołach nabożeństwa, przecież to była niedziela. Pochodu jednak nie było, u stóp pomnika nikt wieńców nie składał. Milczą zresztą i kroniki owych pism codziennych.

A szkoda!... Rocznica bitwy pod Grunwaldem zasługuje na to w zupełności, aby była obchodzona jako święto ogólno-narodowe, zwłaszcza w obecnych czasach, gdy teutońskiej hydrze znów łeb utarto i w Krakowie, gdzie mamy pomnik zwycięzcy z pod Grunwaldu, na który, gdyby nie prywatna ofiarność, z pewnością nie bylibyśmy się dotąd zdobyli, dziś jest to bezprzecznie najwspanialsza karta z dziejów



Wieści z polskiego Pomorza: Pochód agitacyjny za pożyczką państwową w Wąbrzeźnie w dniu 4 lipca b. r.



Amerykańskie święto narodowe w Polsce: Misya amerykańska pod pomnikiem Mickiewicza we Lwowie

polskiego oręża. Jak dotąd (na przyszłą niedzielę może się poprawimy, ale o tem mógłby twierdzić jedynie Komitet urządzający...) odbyła się jedynie msza polowa w Schronisku dla inwalidów na Woli Jastowskiej.

Przed ołtarzem urządzonym wspaniale na stopniach wiodących do byłego pałacu książąt Czartoryskich, zebrało się w dniu 11 lipca b. r. grono oficerów z jenerałem Pastem na czele, mieszkańcy Schroniska i goście. Wysłuchano mszy św. a następnie przemówień, podnoszących doniosłość zwycięstwa grunwaldzkiego i jego znaczenia dla Polski.

Wojskowość zrobiła więc swoje. Kiedyż przyjdzie kolej na „Straż Polską“, zajmującą się obchodem grunwaldzkim. Za austryackich czasów, gdy drażniło to naszego d o s t o j n e g o s p r z y m i e r z e ń c a, święciliśmy je jakoś uroczyściej i odpowiednio do ich znaczenia!

Zbiórka broni dla naszej dzielnej armii.

„Ojczyzna w niebezpieczeństwie!..“

Taki okrzyk rozchodzi się po całym obszarze ziem polskich, od miasta do miasta, od wsi, do wsi, budząc do czynu tych, którzy nie zdali sobie może sprawy z całej grozy położenia.

Od wschodnich granic bolszewik, od północy, wschodu i południa Niemiec i Czech, nie mówiąc już o wewnętrznym wrogu, z którym walka tem trudniejsza, że działa skrycie.

I na głos ten ruszył naród polski całą ławą, aby nieść pomoc zagrożonej Ojczyźnie. Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, stanęli razem do apelu, nie brakło przedstawicieli żadnego zawodu, żadnej klasy społecznej, z wyjątkiem naturalnie tych, którzy żądają praw, jako obywatele państwa, ale do narodowości polskiej się nie przyznają.

W tej ciężkiej a decydującej chwili podniesiono zatem myśl, aby polskie społeczeństwo postarało się samo o zaopatrzenie armii w broń i amunicyę, wiadomo bowiem, że niema u nas prawie domu, gdzieby nie było różnych części składowych wojennego rynsztunku „na pamiątkę“ lub „dla dekoracyi“. Swojego czasu, podczas różnych „chlubnych“ odwrotów armii austryackiej kupowano od żołnierzy poprostu za psie pieniądze karabiny, bagnety, szable, nawet amunicyę, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, w jakiem się to czyni celu. Mieszkanie niejednego obywatela, który prochu nawet nie wąchał chyba na dorocznem strzelaniu królewskiem na Strzelnicy, przedstawiało się jak mała zbrojownia. Z drobniejszych przedmiotów wyrabiano drobiazgi dekoracyjne i to tak masowo, że władze musiały wydać zakaz prowadzenia podobnego przemysłu, przynoszącemu szkodę armii, walczącej w polu.

I pospieszyła ludność na wezwanie, znosząc broń różnego rodzaju na potrzebę Ojczyzny. Nikt nie przypuściłby nawet, jakie tego były zapasy, skoro liczbę zebranych dotąd karabinów i patrony oblicza się na tysiące, zbiórka postępuje raźno naprzód a nie ulega kwestyi, że przecież wielu jeszcze będzie takich, którzy nie zechcą się rozstać ze swym



Amerykańskie święto narodowe w Polsce: Pochód dzieci lwowskich przed misyą amerykańską.

„trofeami wojennemi“, inni zaś ze wstydu, że tego dotąd nie uczynili.

W Krakowie zajęła się przedewszystkiem zbiórką broni redakcya *Ilustrowanego Kuryera Codziennego*, ogłaszając gorący apel do Czytelników, który też nie pozostał bez skutku. Przysyłano i znoszono broń w takiej ilości, iż lokal redakcyjny zmienił się na jakiś potężny arsenał, skąd codziennie do wojskowej zbrojowni przewożono dary ciężarowymi automobilami.

Ponadto i w poszczególnych dzielnicach tworzyły się lokale miejsc zbiórki broni. Jeden z nich mieści się w ubikacyach redakcyi i administracyi *Nowości Illustrowanych* Utworzono go po porozumieniu się z krakowskim DOG., dla dzielnic sąsiednich (Nowa Wieś, Łobzów, Czarna Wieś, Krowodrza), gdzie w każdej porze dnia przyjmuje się broń wszelkiego rodzaju, składaną na potrzeby naszej dzielnej armii.

Obywatelstwo nasze, które już tyle dało dowodów, że nie jest głuche na wezwanie Ojczyzny, spełniło i tym razem swój obowiązek. Kto tego dotąd nie uczynił, niech się nie ociąga, bo ten karabin, bagnet lub szabla, wiszące na jego ścianie, mogą się przyczynić do uwolnienia kraju naszego od zagrażających mu zewsząd wrogów.

Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka! I jeden karabin, bagnet lub szabla, nawet kilka ładunków, nie są dziś bez znaczenia!



Zbiórka broni dla naszej dzielnej armii: Samochody ciężarowe, przewożące broń z redakcyi Il. Kuryera do arsenału.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

9

Wtem drgnął, został napowrót ściągnięty na ziemię. Zdawało mu się, że usłyszał szelest sukni, zwiastujący przybycie noszącej ją osoby. Spojrzał na drzwi, prowadzące prawdopodobnie do sypialni, lecz były i pozostały zamknięte. Odstąpił od pianina. Jakie książki lubiła? Emerson optymizm, w boksowych rękawiczkach; Maspero — a więc interesowała się Egiptem; Faust, de Maupassant, d'Annunzio, Hawthorne, „The Searlett Leters". Wziął tę książkę; była biało oprawiona. Znał ją niegdyś, czytał dawno temu. Otworzył i zaczął przewracać kartki. Nagle przypomniał sobie jej treść, grzech ciała, szkarłatny list, który winę zwala na pierś kobiety, podczas gdy mężczyzna pozostaje bezkarny.

— Mrs. Chepstow posiadała tę książkę, i to, w białej oprawie.

— Czy pan chce według książek, sądzić mój charakter?

Ciepły, miły głos odezwał się za nim. Weszła i stanęła przy Armine. Była w białej sukni, czarnym kapeluszu, w ręku trzymała białą parasolkę. Przy świetle słonecznem, wyglądała jeszcze jaśniej niż wieczorem.

— Nie sądzić — rzekł, zatrzymując jej rękę — zgadywać, a może odgadnąć.

— Jaka to książka? The Searlett Letters! Dostałam ją przed rokiem, a po przeczytaniu kazałam biało oprawić.

— Dlaczego tak?

— Wasze grzechy będą jak szkarłat — zacytowała. — Ale — może napijemy się herbaty.

— Mówiąc to, podeszła do kominka i przycisnęła dzwonek, poczem siadła na sofie, odwrócona od światła.

— Przypuszczam, że pan musi mieć ogromnie dużo *engagement* — rzekła — większość ludzi jest tem teraz zajęta, to też należy się szczera wdzięczność, jeżeli ktoś nam poświęca kilka chwil czasu. Pamiętam, że przed laty, jak żyłam w wirze towarzyskim, oczekiwałam tysięcznych podziękowań za kilka minut, które komuś dawałam. Jak okoliczności się zmieniły.

Nie westchnęła, ale zaśmiała się i nie dając mu czasu na odpowiedź, dodała:

— Którą z moich książek pan jeszcze widział?

— Widziałem, że pani ma dzieła Maspero.

— Och! postarałam się o nie jedynie dlatego, że pana poznałam. Pomyślałam o Egipcie, w którym nigdy nie byłam, pomimo, że dużo podróżowałam. Ostatniej nocy, jakeśmy się rozeszli, nie mogąc spać, zabrałam się do czytania Maspero i myślałam o pańskiem życiu w Egipcie. Nie chcę być impertynentką, ale trzeba o czemś myśleć.

— Impertynentką!

— No, cóż? Ludzie są tak dziwni — teraz. Pamiętam czasy, kiedy szaleli w przeciwnym kierunku. Uważali za zaszczyt, jeśli o nich myślałam. Ale wtedy nie miałam trzydziestu ośmiu lat i należałam do towarzystwa.

Służący wszedł z herbatą, ustawił ją i wyszedł, poczem Nigel się odezwał z pewną nieśmiałością:

— Dziwię się, że pani nie mieszka na wsi.

— Wiem, co pan ma na myśli. Ale pan się myli, tam jeszcze gorzej. Podała mu filiżankę, ruchem pełnym troskliwości, jakby się czuła szczęśliwą, że może mu usłużyć.

— Rektor jest zaambarasowany, rektorowa przerażona, gospodyni lekarza stara się mu przeszkadzać, odwiedzać nawet w razie śmiertelnej choroby. Dziedzic pomimo wielkiego zainteresowania, jest naturalnie szanowanym człowiekiem, podporą moralności w okolicy, a jego żona, jest nią podwójnie. Sąsiedzi stosują się do „mot el'ord e" i jest się „planté" jak samotny, biały księżyc. Przyjemne życie, znam je. Egipt, Omaka — wszędzie byłoby lepiej. Co pan będzie jadł? Może które z tych ciastek? są rzeczywiście dobre, zamówiłam je, specyalnie dla pana, na naszą małą ucztę.

I z uśmiechem podała mu koszyk.

— Egipt byłby lepszy — zawołał Nigel z siłą i zapałem, które były w sprzeczności z jej lekkim, nawpół śmiejącym tonem.

— Dlaczego pani tam nie jedzie? dlaczego nie spróbować swobodnego życia?

— Życie wśród plemion, jak Lady Hester na Libanie? Przyznam się, że nigdy nie potrafię się zemścić do noszenia turbanu. Zresztą Egipt jest teraz strasznie ucywilizowany; każdy tam jedzie. Wyrzucą nas z brzegów Nilu.

Brutalna jej szczerość dziwiła i prawie bolała Armine'a, zdawało mu się nawet, że jest w tem brak dobrego smaku.



Ciepły, miły głos odezwał się za nim. Weszła i stanęła przy Armine.

— Pan ma słuszność — rzekła i nagle lekkość znikła z jej głosu:

— Ale jak niemam być zrażoną? Oddawna nie jestem wymagającą. Kobiety wogóle są wymagające i dają tem dowód rozsądku. Ale ja nigdy nie byłam rozsądną; gdybym nią była, nie widziałby mnie pan, teraz, w tak głupiem i samotnem położeniu.

Zwróciła się do światła i podniosła woalkę.

— Ani naturalnie, nie widziałby pan, na mojej twarzy, wypisanych różnych przykrości i smutków. Ale nie mogłam być wymagającą w ośmnastym roku życia, tembardziej, w trzydziestym ósmym. Nic więc dziwnego, że dużo mężczyzn — z tych, których pan spotyka w klubach — nazywają mnie „ostem kobietą". Jestem małym, małym osiołkiem.

Przy tych słowach, cała powaga znikła, i kiedy się uśmiechnęła i poruszała głową, podkreślając humorystycznie krytykę samej siebie, wyglądała na podlotka. „Mały, stosuje się naturalnie do mego rozumu, nie do mego wzrostu, albo, może mam powiedzieć, do mego ducha".

— Nie; mały, będzie niestosownym przymiotnikiem do ducha pani — rzekł Nigel.

Mrs. Chepstow była wzruszoną, jak się upewniła, że Nigel to spostrzegł, odwróciła się znowu od światła.

— Czy pan widział dzisiaj swego przyjaciela, doktora Iseacsona? — odezwała się, starając okazać wysiłek dla zmienienia rozmowy.

— Mam do niego sympatyę, chociaż, wogóle, żydów nie lubię za ich zamiłowanie do pieniędzy. Ale jego lubię, i zdaje mi się, że i on uczuł dla mnie sympatyę zeszłego wieczoru, kiedy mi okazał tyle dobroci.

— Iseacson, to człowiek niezrównany. Nie widziałem go dzisiaj: został wezwany do chorego. Mieliśmy razem z odbić konny spacer zrana, ale, przysłał zawiadomienie, że to niemożliwe. Wyjechał na wieś.

— Czy długo tam zbawi?

— Nie wiem, mam nadzieję, że nie. Tak bardzo go tutaj potrzebuję.

— Oh!

— Mam na myśli, że się w wielu wypadkach rozumiemy, takich ludzi rzadko można spotkać.

— Pan musi mieć przyjaciół tuzinami. Pan jest w guście męskim.

— Nie wiem. Co to znaczy być w guście męskim?

— Być takim jak pan.

— A w guście kobiet?

— Każdy, kto jest w guście mężczyzn, jest także w guście kobiet.

— Pani powiedziała, że nie może być wymagającą, ale pochlebiać pani umie.

— Dlaczego miałabym panu pochlebiać? Nie zdaje mi się, żeby pan do tego przywiązywał najmniejszą wagę. Pan lubi szczerą prawdę. Kto jej nie lubi? Powiedziałam panu prawdę, lecz przyjemną.

— Chciałbym i ja przyjemne prawdy pani powiedzieć.

— Obawiam się, że dużo ich pan nie znajdzie. Jestem jednak przekonana, że w każdym człowieku jest, choćby najmniejsza cząsteczka nienaruszonego dobra, płomyk, którego nic nie zdoła zgasić.

— Tak, ma pani zupełną słuszność.

— Och! ale on musi być ciągle podsycany — podsycany — podsycany, ten płomyk.

Wzięła się szybko do nalewania herbaty, jakby zawstydzona wybuchem otwartości i starająca się to pokryć.

— Proszę mi przyprowadzić któregoś dnia doktora Iseacsona — jeżeli zechce przyjść — rzekła już zmienionym, chłodnym głosem wytrenowanej światowej kobiety.

Armine uczuł, że prawdziwa kobieta, która na chwilę wypłynęła na powierzchnię, teraz, znowu, zanurzyła się na dno, i że Mrs. Chepstow była ukazaniem się tej prawdziwej kobiety zawstydzoną.

A on chciałby jej powiedzieć: „nie wstydź się, pozwól, niech widzę, tę prawdziwą dobrą kobietę, której szukam, kiedy jestem z tobą". Ale nie śmiał tego uczynić.

— Przyprowadzę Iseacsona — rzekł spokojnym głosem — chciałbym, żeby panią prawdziwie poznał. — Dlaczego pani się uśmiecha?

— Ależ — ja się wcale nie uśmiecham.

Nigel widząc ją, poważną i zdziwioną, nie mógł zrozumieć, jak mu się to mogło wydać.

— Powiem panu prawdę, że, pomimo mojej ochoty poznania bliżej doktora Iseacsona, nie przypuszczam, żeby był do pana podobnym. Nie wydaje mi się dobrym psychologiem.

— Pani mnie ma za psychologa? — zapytał ze zdziwieniem.

— Tak, i powiem dlaczego, jeżeli pan obieca, że się nie obrazi.

— Proszę powiedzieć.

— Mam przekonanie, że się odczytuje charaktery, tak dobrze oczyma serca jak i rozumu. Pan używa tych obu sposobów, ale nie jestem pewna, czy doktór Iseacson, czyni tak samo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

2

I.

– No, cóż tam? – syknęła niecierpliwie – nawet ognia porządnie rozpalić nie umiesz. Dużą mam pomoc z ciebie, niezdaro.

W tej samej chwili ciężkie, powolne kroki rozległy się w sionce i do kuchni wszedł Gawlik. Na widok młodszej córki, kręcącej się przy blasze, uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego apatyczną twarz.

– Grzejesz kolacyę, malutka? – zapytał, całując ją w czoło.

Zaraz podam kawę, proszę taty – odpowiedziała Staszka, przysuwając bliżej garnek z mlekiem.

– Kawę? – skrzywił się Gawlik.

– A co? – wtrąciła się Gawlikowa z ironią. – Wo ałbyś befsztyk z jajem, – prawda? Jak będziesz bogaty, to sobie pozwolisz. A teraz męcz się sam i my przy tobie.

Nie czekając na odpowiedź męża, wróciła do pokoju, gdzie zamyślona, usiadła przy stole.

Gawlik rozebrał się, powiesił palto i czapkę na gwoździu i ociężale powlókł się za żoną.

– Jest co nowego? – zapytała Gawlikowa, mierząc go niechętnem spojrzeniem.

A co by...

– Miałeś przecież pogadać ze starym, żeby ci na dogodnych warunkach odstąpił interes. Już dawno chce się go pozbyć, a z tobą prędzej się ułoży, jak z innym. Tyle lat prawie zadarmo mu robisz!

Gawlik usiadł i podparł głowę rękami.

– Łatwo ci mówić. Wziąść interes, ale za co? Gadałem z nim. Chętnie odstąpi i nawet na spłaty się zgodzi, ale zkąd wziąść na pierwszą ratę skąd?

Mnie to mówisz? – ozwała się Gawlikowa. A od czegóż masz głowę na karku?! Inni sobie jakoś radzą i do czegoś dochodzą...

Inni? – szepnął Gawlik. Podniósł głowę i jasne łagodne oczy z wyrazem bezsilności utkwił przed siebie.

– Ile dziś zarobiłeś przy robocie?

Pięćdziesiąt koron.

Gawlikowa zaśmiała się drwiąco.

– Pięćdziesiąt koron! proszę!

– Interes źle idzie! – próbował bronić się Gawlik. Punkt niekoniecznie dobry. Stary odkąd zapadł na zdrowiu, nie dba o nic, brudy, braki, goście się odstręczają, idą gdzieindziej!

Pięćdziesiąt koron! – powtórzyła ze złością Gawlikowa. I ty chcesz, żeby mi to do poniedziałku wystarczyło co?

– Zarobię przecież jeszcze w niedzielę do południa.

– Zarobisz, zarobisz! Już to co ty zarobisz tą brzytewką. I cóż ty sobie myślisz do końca życia być tym pomocnikiem fryzyerskim? Inni majątki robią, a u nas tylko zawsze bieda, jak u ostatnich żebraków!

Weszła Staszka, niosąc na blaszanej taczce trzy garnuszki napełnione nędzną, szarą kawą.

– Przyniesł chleb ze sklepu – mruknęła matka, – tylko weź ten czerstwiejszy. I tak go już nie sprzedam.

– Kasia jeszcze nie wróciła? zapytał Gawlik zabierając się do picia kawy.

Pewnie ją znowu zatrzymali w pracowni. Biedactwo! Cały dzień nad tą maszyną za te marne kilkadziesiąt koron tygodniowo.

– Trudno! wszyscy pracować musimy.

– A jakże! Szulcowie może pracują, a na pieniądzach siedzą. Ona do południa w betach leży, a on po kawiarniach fiakrami się rozbija.

– Nie zazdroszczę mu tego.

– Boś głupi! Dziś tylko ten coś wart, co pieniądze ma!

Tak, ale jakie pieniądze?

Wszystko jedno! Ludzie nie tacy wymagający jak złoto widzą. Nie pytają skąd, byleby było! A zresztą co? Interesa robić to jeszcze nie złodziejstwo! Trzeba tylko głowę nie mieć od parady i nie być ostatnim tumanem.

Głos Gawlikowej stawał się coraz bardziej wyzywający i zaczepny. Czuć w nim było gorycz i żal nazbierany od lat wielu. Gorycz i żal ludzi biednych, drażnionych widokiem dobrobytu lepiej uprzywiliowanych. Gawlik milczał, jedząc bez apetytu chleb przyniesiony przez Staszkę.

Dobra, łagodna jego twarz zasępiona była teraz i chmurna. Widocznem było, że nie chciał przedłużać rozmowy, której treść aż nadto dobrze znaną mu była. Codziennie prawie od pewnego czasu jak wracał z pracy do domu, te same skargi, żale i zarzuty! Obojętniał już na nie, niekiedy jeszcze tylko jakiś głuchy, sprawiedliwy bunt odzywał się w jego piersi do tej kobiety, którą kochał prawdziwie w pierwszych latach młodości i które zdawała się zupełnie



Pięćdziesiąt koron! proszę!

zapominać o dobrych chwilach, spędzonych z nim razem. O jednej tylko rzeczy pamiętała zawsze i nigdy darować mu nie mogła – że nie był bogaty.

Jedyną pociechą w tym domu, w którym się czuł obcy jak gość z konieczności tolerowany, była jego młodsza córka, Staszka.

Tych dwoje rozumiało się najlepiej.

Spokojni, skromni w wymaganiach, nie żądali więcej od życia nad to, co im narazie dać mogło, niechętni tej niezdrowej atmosferze zawiści i nierozsądnych ambicyi, którą gorliwie wytwarzała w około siebie Gawlikowa i jej starsza córka.

Niemiłe, przygnębiające milczenie, jakie zaległo po ostatnich słowach Gawlikowej, przerwane zostało trzaskiem otwieranych drzwi.

Do mieszkania wbiegła Kazia, druga córka Gawlików. Zręcznie skrojony płaszcz dobrze uwydatniał jej zgrabną figurę. Z pod wielkiego ronda aksamitnego kapelusza, wybiegały jej niesforne czarne włosy, okalając twarz zmysłową, białą, w której gorzały olbrzymie ciemne oczy o silnym, energicznym wyrazie. W ruchach jej i zachowaniu uwydatniała się arogancka pewność kobiety dojrzałej, znającej dobrze wartość swoich zalet fizycznych i niechcącej jej zniszczyć bezcelowo.

Zdenerwowanym ruchem zrzuciła z siebie płaszcz i kapelusz i podeszła przywitać się z matką.

Bardzo jesteś głodna, kochanie? zapytała czule Gawlikowa, głaszcząc ją po rozpalonej twarzy. Zamęczysz mi się tylko przy tem szyciu. Zatrzymali cię znowu, co?

– A pewnie! – wybuchnęła dziewczyna. – I żeby mama wiedziała przez kogo?! Wykończać musiałyśmy na gwałt suknię wieczorową dla tej małpy Wikty!

– Dla Wikty Szulcówny?

– Tak! Dla niej!

– Nie! tego już zanadto! jęknęła bezsilnie Gawlikowa, czerwieniąc z oburzenia.

– A jakże! Zamówiła u nas dwie suknie w tamtym tygodniu i musiały być na dziś oddane. Ja o tem nic nie wiedziałam. Dopiero dziś po południu wołają mnie do pomocy panny Wacławy, do ostatniej miary. Wchodzę do saloniku i kogo widzę! Tę gruba, ordynarną Wiktę w jedwabiach i koronkach! Myślałam, powiadam mamie, że trupem padnę!

– No i co! i co?

– Co? Patrzy na mnie, przymruża te zielone ślepia i cedzi przez żęby: „Jak się panna ma?!“.

Nie może być! – zawołała Gawlikowa, podrywając się na stołku.

– A jakże! Powiadam mamie, że żeby tam nie było panny Wacławy, byłabym jej do rozumu pogadała! Och! Boże! Boże! Na co to człowiekowi przyszło! Takie coś! taka łafirynda! i mnie w oczy urągać będzie! Taka dziewka od szlachtuza! A to wszysko przez tatę – zwróciła się nagle do ojca rozczerwieniona, z błyskawicami gniewu w oczach. – Tak, tak, przez tatę! Szulc rozum ma, to i pieniądze u niego są! A jakże!

– Daj mi ty pokój dziewczyno! – wzruszył niechętnie ramionami Gawlik. – Mnie się znowu czepiać będziesz. Do reszty ci się w głowie przewróciło, czy co?

– Bo czego ty chcesz od taty? – stanęła w obronie ojca Staszka, która od chwili zatopiona w książce, słyszała ostatnie słowa siostry. – Nie pracuje to? Nie zarabia?

– Ty tu najmniej masz do gadania – odcięła się Kazia, siadając przy matce. – Mało kosztują te twoje nauki? Zachciało się pannie być mądrą i wszyscy na nią robić muszą!

– Przestań Kazia! – zawołał surowo Gawlik, wychodząc ze swojej zwykłej apatyi. – Staszki mi nie ruszaj. Dobre z niej dziecko, nie tak jak ty! Ojca uszanować potrafi i głupstwa jej po głowie nie chodzą!

– Ho! ho! – przyszła w pomoc Kazi Gawlikowa. – Wiadomo, Staszka to twój gagatek, oczko w głowie! Obojeście z jednej gliny. Przy was to my wkrótce boso chodzić będziemy, kiedy inne paradują w jedwabiach!

– Cóż to! Znowu awantura rodzinna – zabrzmiał nagle gruby, sympatyczny głos męski. – Tak się zatrzerzwili, że nie wiedzą o bożym świecie. Kuchnia otwarta, złodziej by wlazł łatwo!

– I zabrał tego, czego niema – mruczała Kasia niechętnie.

– Cóż wam znowu poszło! Że też wy zawsze poróżnić się musicie. Jak się masz Władek!

Krewny Gawlikowej był już starszym czterdziestokilkuletnim mężczyzną. Twarz miał czerstwą, ogorzałą, wysokie białe czoło, oczy szare, tryskające jeszcze życiem i zadowoleniem z siebie. Ubrany był w kurtkę, skórzane i wysokie buty.

– No! dziewczęta! – zwrócił się do Staszki – a dajcie tam co wujkowi zjeść, bom głodny jak wilk! Ciężka była dziś robota w fabryce.

– Jest kawa, wujku – zaproponowała nieśmiało Staszka.

– Kawa! To cienko!

— I ty także masz pretensye za te marne pieniądze, jakie dajesz na życie! — wtrąciła zgryźliwie Gawlikowa — Jak się jest monterem i zarabia więcej, jak urzędnik, jak sam powiadasz, to na lepsze życie wystarczyć powinno.

— Ja daję co mogę, a że ty z tem gospodarować nie umiesz, to nie moja wina. Tobie, żeby korcami walił pieniądze, to zawsze mało będzie. Rządzić się nie umiesz i już!

— Do ciebie może na naukę pójdę?

— Głupstwa gadasz! Do dziesiątej w łóżku leżysz, jak jaka bankierowa, sklep późno otwierasz, na targ zawczasu nie pójdziesz, żeby od wiejskich kobiet co taniej kupić, a potem narzekasz, że bieda, że handel ci nie idzie. A te pieniądze, co na fatałaszki wydajesz.

— Na fatałaszki! proszę!

— A tak! Tej pannie naprzykład — wskazał na Kazię, — potrzebne jedwabne bluzki do pracowni — co? A wczoraj toś jej koronkowy kołnierz kupiła, prawda? Myślisz, że ja nic nie widzę? A potem wszystkiem kawę lurę na kolacyę dajesz — co?

— Daruj, mój Janku, ale tobie nic do tego, co ja Kazi kupuję. Dziewczyna pracuje, to sobie może pozwolić na co innego, niż taka na którą jeszcze wykładać potrzeba. O! jest świeży pasztet! Znowu opłatę za naukę podnieść mają. Ciekawam skąd wezmę.

— Prawda to, Staszka? — zwrócił się Grodzicki do siostrzenicy.

— Prawda, wujku. Muszę na piętnastego złożyć 450 koron dopłaty za cały rok.

— Czterysta pięćdziesiąt koron! Słyszane to rzeczy! oburzyła się Gawlikowa. Cóż ty sobie dziewczyno myślisz? Sama jedna w domu jesteś? Może na ciebie zapożyczać się jeszcze będziemy. Nie pójdziesz więcej do szkoły i już!

— Za pozwoleniem — przerwał ostro Grodzicki. Staszka dalej chodzić będzie do seminaryum tak jak chodziła. Oszalałaś chyba kobieto! Rok jeszcze ma tylko do ukończenia i chcesz, żeby cała jej nauka poszła na marne!

— No, to ty chyba płacić za nią będziesz, kiedy się tak nią opiekujesz! — zawołała z furya Gawlikowa. - Przedewszystkiem wypraszam sobie obcych rządów w moim domu! Ty pilnuj siebie, a do nas się nie wtrącaj, rozumiesz? Kasiu? — nachyliła się do córki, siedzącej nadąsanej obok niej. — Tyś jeszcze kochanie nic nie jadła. Zostawiłam ci w szabaśniku trochę klusków z obiadu. Odgrzej sobie i weź słoniny ze szafki — dokończyła szeptem, głaszcząc ją po włosach.

Grodzicki długą chwilę w milczeniu popijał kawę, przyniesioną przez Staszkę, spoglądając z pod oka na niewzruszoną twarz Gawlika, wpatrzonego w „Kuryerka", rozłożonego przed nim na stole.

— No, więc co będzie z tą podwyżką Staszki? — zapytał w końcu, przenosząc wzrok na Gawlikową.

— Powiedziałam już... chyba ty zapłacisz, bo ja nie mam.

— Zapłacę, jak będzie potrzeba, ale na ten raz wy sami zapłacicie? Prawda Władek?

Gawlik oderwał się od gazety i spojrzał pytająco na szwagra.

— My zapłacimy? — powtórzył bezradnie. — Pewnie, że my zapłacimy. Trzeba będzie o tem pomyśleć. Może jaką pożyczkę zaciągnę u starego. Staszka do egzaminu dojść musi.

— I dojdzie — dokończył stanowczo Grodzicki. Już ja ci za to ręczę. Ale ty na razie nie potrzebujesz się zapożyczać, bo ja będę miał pieniądze dla ciebie.

— Sam mi pożyczysz? — zapytał Gawlik, patrząc z wdzięcznością na szwagra.

— Nie, nie pożyczę ci, ale ci dam sposób dojścia do pieniędzy i to do dużych pieniędzy.

— Żartujesz chyba, — zaciekawiła się Gawlikowa, zapominając nagle o urazie, jaką czuła do kuzyna.

— Nie, nie żartuję — odparł spokojnie Grodzicki, zapalając papierosa. — Przyszedłem właśnie z tą dobrą wiadomością, ale że ty zawsze każdą rozmowę od kłótni zacząć musisz.

— No, no, między swoimi wszystko uchodzi — uśmiechnęła się przyjemnie Gawlikowa, przeistoczona nagle.

— A przed chwilą mówiłaś jeszcze, że ja tu nie mam prawa do zabierania głosu — co?

— Eh! cobyś tam zważał na to. Wiesz, że jestem prędka, a dosyć się żółci nazbiera w człowieku przez dzień cały... No, gadajże przecież Janek, o jakich ty pieniądzach mówisz?

Oczy jej rozbłysły nadzieją i zachmurzona twarz odmłodniała nagle o lat parę.

— Jest interes do zrobienia - zaczął poważnie Grodzicki — interes uczciwy, innegobym nie proponował. Władek zarobić może do dziesięciu tysięcy koron.

— Dziesięć tysięcy koron! — powtórzyła z zachwytem Gawlikowa.

— Tak. Ale te pieniądze trzeba będzie mądrze użyć, uważacie, bo nie prędko się taka gratka trafi. Możecie tą sumą polepszyć sobie byt na przyszłość, tylko, jak powiadam, trzeba się dobrze zastanowić, jak je użyć.

— Potem o tem się gadać będzie — wtrąciła niecierpliwie Gawlikowa, a teraz mów prędko, co to za interes i kiedy te pieniądze mogą być u nas. Boże mój! wierzyć się człowiekowi nawet nie chce, żeby to było możliwe! No, Władek, słyszysz! Dziesięć tysięcy! Możesz zarobić dziesięć tysięcy! Ja zawsze mówiłam, że ten Janek to porządny chłop!

— Nie galopuj się, moja kochana! Nie galopuj — uśmiechnął się ironicznie Grodzicki. — Znam się na farbowanych lisach. Słuchaj więc — zwrócił się do szwagra. — Mówiłem ci już nieraz o tym starym moim znajomym, co ma sklep żelazny.

— No, no, pamiętam — ozwał się Gawlik. — Ten z Długiej ulicy?

— Tak, ten z Długiej. Oddawna już chce się sklepu pozbyć. Stary jest, rodziny niema, chce zrealizować gotówkę i wyjechać z Krakowa. Ale że chłopisko uczciwe jest, nie chce żydów ajentów do sprzedaży sklepu, tylko szuka jednego pośrednika, albo też nabywcę, któremu po konkurencyjnej cenie odda wszystko, uważasz? W tamtym tygodniu widziałem się z nim, powiedział mi tak: Poszukaj mi pan kupca na sklep, ale nie jakiego wydrwigrosza, co ze skóry biednych ludzi łupić będzie, ale solidnego, porządnego człowieka, który prowadzić będzie po mnie handel uczciwie i sumiennie. Tyle lat siedziałem w tym sklepie i nikt na mnie narzekać nie mógł, niechże nie narzekają ludziska później. Dam dziesięć procent temu, co mi takiego człowieka znajdzie!

— To czemu nie szukasz sam? — zdziwił się Gawlik, otwierając szeroko oczy.

— Bo chcę, żebyś ty sobie zarobił — odparł z prostotą Grodzicki. — Ja, stary kawaler, co mi po pieniądzach, wystarczy to, co zarabiam. Ty, co innego, ty masz rodzinę.

— Masz racyę Janku — pospieszyła z zapewnieniem Gawlikowa, której oczy aż jarzyły się od radości. — Poczciwy człowiek z ciebie, że pamiętasz o najbliższych krewnych.

— Więc jakże to będzie? — zapytał Gawlik, ogłuszony tą niespodziewaną wiadomością. — Mam szukać kupca na ten sklep, kiedy bo to widzisz... ja tak mało mam znajomości...

— Pomyślałem o tem i kupiec już jest. Ty musisz tylko zająć się spisaniem inwentarza sklepu, bo stary sam nie wie, co ma i wszystko w porządku oddać nowemu nabywcy. No, — zaśmiał się Grodzicki wesoło — mam nadzieję, że wszyscy będą zetmnie zadowoleni. Stary, że się sklepu pozbędzie, który mu już dobrze ciężył i oddaje w dobre ręce, a ty, że zarobisz sobie ładnych kilka tysięcy.

— Dziesięć, przecież mówiłeś dziesięć — podchwyciła skwapliwie Gawlikowa.

— No, no, nie gorączkuj się tak — uspokajał ją trochę ironicznie Grodzicki. Dostaniesz te swoje dziesięć tysięcy, dostaniesz, tylko już ja w tem, że je nie rozflaczysz po swojemu.

— Proszę cię bardzo — zaoponowała dotknięta Gawlikowa — mógłbyś inaczej się ze mną obchodzić.

— Tak mu dziękujesz za pamięć o nas — upomniał ją Gawlik i wyciągając rękę do szwagra, dodał z serdeczną powagą: — Na moją wdzięczność zawsze liczyć możesz.

— Wiem, wiem — odparł Grodzicki. Zacny z siebie człowiek tylko masz słaby charakter i zanadto się dałeś opanować żonie.

— Powiedz lepiej odrazu, że jestem sekutnica i że mu zatruwam życie!

— Słuchaj Honora, może byś dzisiaj chociaż przestała się kłócić. Władek musi mieć teraz spokojną głowę do tego interesu. Czy jak ci te dziesięć tysięcy do domu przyniesie, to także mu do oczu skakać będziesz.

— Z tobą to nigdy porządnie pogadać nie można — roześmiała się odobruchana już Gawlikowa. — Dziewczęta! słyszycie! Ojciec zarobi dziesięć tysięcy koron! Szulcowie jak się dowiedzą, że nam trochę lepiej, idzie to popękają ze złości. Daj ci Boże zdrowie Janku — zwróciła się uradowana do Grodzickiego. — A może byś zjadł co jeszcze, boś pewnie głodny po tej kawie?

— Pewnie! — zaśmiał się Grodzicki. — Mógłbyś chociaż taką wiadomość uczcić porządniejszą kolacyą, prawda Władek? Pójdę po piwo i zapijemy wesoło całą tę sprawę.

— Poproszę cię jeszcze o bliższe informacye mój kochany — odparł Gawlik. W jakim czasie sklep ma zostać oddany w ręce nowego właściciela?

— Od ciebie to zależeć będzie. Myślę, że do ośmiu dni dasz sobie z tem radę. Musisz tam chodzić w wolne godziny w południe i wieczorem. Zresztą powimy jeszcze o tem.

Do pokoju weszła Kazia z roześmianą twarzą i błyszczącemi oczami.

— Wujku, więc to prawda? Tata zarobi dziesięć tysięcy? I my będziemy bogaci? — zapytała, łasząc się do Grodzickiego. No, to ja już do pracowni chodzić nie muszę — co?

— Oszalała dziewczyna najczyściej — zawołał Grodzicki, odtrącając ją lekko od siebie. Pieniądze jeszcze w lesie, a tobie się już w głowie przewracać zaczyna. Niedoczekanie twoje, moja panno! Tak będzie jak było i basta. Nie na to ojciec zarobi, żebyś ty w domu się wylegiwała i romansidłami się karmiła.

— Więc na co te pieniądze pójdą? — zapytała Kazia zachmurzona. Jeżeli tak ma być dalej jak było, to co nam po nich!

— Nie twoja w tem głowa. Nie bój się! Nie zmarnują się one! No co, Honora, będzie ta kolacya, czy nie?

— Będzie, będzie! dał się słyszeć głos Gawlikowej ze sklepiku. Właśnie kraję kiełbasę. Staszka, nastaw tam trochę ziemniaków, a prędko!

— No to ja pójdę po piwo, a jak wrócę, to pogadamy jeszcze!

Do późnej nocy dnia tego świeciło się w oknach mieszkania Gawlików. Dawno nie oglądana radość i nadzieja zawitały pod ten dach, pod którym kłębiły się dotąd jak zjadliwe opary, zawistne myśli i niechęci podsycane tą gorączkową atmosferą, wytworzoną przez niemoralne stosunki, panujące w całem społeczeństwie już od pewnego czasu. Bo tylko bardzo silne charaktery, wyrobione na zdrowych podstawach, odporne na wszelkie złe i pokusy, oprzeć się mogły tej pochłaniającej fali, płynącej razem z pożogą wojny i obejmującej w swe zawrotne kręgi nie tylko życia lecz i sumienia i serca ludzkie. Ułudna, zwodnicza fala łatwo zdobytego złota, do której biegły jak muchy na lep wszelkie wygórowane ambicye i próżności istot olśnionych jej blaskiem magicznym.

II.

Nazajutrz była niedziela. Miasto już od wczesnego rana przybierać poczęło zwykły swój świąteczny charakter. Dzień trochę jeszcze mroźny, słoneczny był i cichy. W prądach świeżego powietrza, ciągnących od Błoni czuć było już pierwsze powiewy wiosny, silny zapach ziemi, zwolnionej już miejscami ze swojej śnieżnej skorupy, dyszącej radośnie wszystkiemi porami do utęsknionego słońca.

U Gawlików, przeciw zwykłemu niedzielnemu zwyczajowi, powstawano dosyć wcześnie. Jakiś pęd nowej energii kazał tym ludziom poruszać się energiczniej. Gawlikowa, przybrana w ciemnobrązową materyalną suknię, kręciła się po sklepiku, obsługując uprzejmie, co zdziwiło bardzo tą jej niecodzienną uprzejmością służące z sąsiednich kamienic.

— Co się Gawlikowej dziś stało? — pytały między sobą, trącając się łokciami.

W pewnej chwili do sklepu weszła służąca od Szulców, mieszkających naprzeciwko.

— Moja pani prosi o dziesięć jaj — wymówiła z arogancyą dziewczyny służącej u bogatych państwa.

Uprzejmy uśmiech znikł natychmiast z twarzy Gawlikowej. Nienawistnem spojrzeniem przeszyła dziewczynę, przenosząc już i na nią całą złość tłumioną do całej rodziny Szulców.

— Nie sprzedaję jednej partyi więcej, jak cztery sztuk — wycedziła przez zęby. — U mnie nie bogacze, ale biedniejszy naród kupuje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Omawianie kwestyi politycznych, to materyał dla dziennikarza z jednej strony bardzo wdzięczny, z drugiej zaś niewdzięczny. Wdzięczny dlatego, że w razie braku innego tematu można pierwszem lepszem głupstwem zapełnić kilka szpalt, snując różne kombinacye, zależnie od „platformy", z której się zapatruje na sytuacyę i dlatego zwłaszcza w czasach kanikularnych, gdy niema o czem i o kim pisać, można o tem lub owem machnąć śmiało i tysiąc wierszy. Ale jest i odwrotna strona medalu. Jeśli się chce rozważać różne sprawy politycznej natury ze stanowiska tak zwanego zdrowego chłopskiego rozumu (który przecież nie jest zawsze „zdrowy", jak to widzimy u niektórych naszych ludowców...), robi się człowiekowi za gorąco, co bynajmniej nie jest pożądanem w okresie kanikularnym, gdy się pocimy i bez polityki.

To też i kronikarz, dbając nie tylko o swoje zdrowie, ile o P. T. Czytelników, dość rzadko się do niej zabiera, czego dał dowód, poświęcając poprzednią kronikę sprawie wyjazdu na wakacye, mającej z polityką bardzo mało związku, choć przecież naśladnionej od niej pod pewnymi względami. Polityka tak się już wżarła w nasze życie, że nawet, dając buty do podzelowania, musimy się z nią liczyć.

W tym tygodniu musimy jednak zaglądnąć do politycznej beczki, choć termometr idzie coraz bardziej w górę, wzorując się na cenach artykułów, niezbędnych do życia.

Zacząć naturalnie wypada od polityki wielkiej, to jest uczynionej chociby tylko ze względu na konferencyę w Spaa, która radzi, nic sobie nie robiąc z gorąca, które nam, Krakowianom, daje się już od tygodnia przeszło we znaki. Narzekamy na upały, dając w ten sposób dowód, że człowieka niczem się nie zadowoli. Nie tak dawno jęczeliśmy, że nam zimno, teraz, gdy niebiosa wysłuchały nas i zrobiły ze świata parową łaźnię, także ma się to upodobanie i każdy byłby rad, gdyby bodaj część tych upałów można przenieść na zimowe miesiące.

Koalicya, radząc nad uporządkowaniem stosunków światowych, nie może sobie znaleźć odpowiedniego miejsca, przypominając kurę, mającą zamiar znieść jajo. Kura znosi jajo w cichości, chwaląc się głośno dopiero po spełnieniu szlachetnego czynu, narady sojuszników odbywają się też w tajemnicy, od czasu tylko do czasu podając światu lakoniczne wiadomości i pozwalające tłumaczyć je sobie, jak się komu podoba. Przyznać zaś trzeba, że dba bardzo o zdanie cichych, oblewając ich, może nawet zbyt często, zimną wodą, aby im polityczne gorąco, broń Boże nie zaszkodziło!... Do takich zimnych zlewań należy między innemi i ustanowienie terminu plebiscytu na Mazurach i Warmii w dniu 11. lipca, aby przypadkiem Polacy nie mieli dość czasu na uświadomienie tamtejszej ludności. — I w dalszym ciągu możemy się spodziewać podobnych niespodzianek.

Po Paryżu, Londynie, San Remo, Boulogne przyszła kolej na Brukselę i Spaa. W Brukseli przygotowywano się przez dwa dni do obrad w Spaa, które mają potrwać przeszło dwa tygodnie. Widocznie członkowie są za dziennemi dyetami i radzi byliby przeciągnąć je jak najdłużej, nic pozytywnego nie uchwalić i rozjechać się w tej myśli, że się niedługo zbiorą znów, ale już w innem miejscu.

W Brukseli była więc niejako tylko „przekąska", właściwa uczta odbywa się w Spaa, z bardzo obfitem politycznem *menu*. O ile jednak dyplomatyczne obiady w ścisłem tego słowa znaczeniu są bardzo smaczne, o tyle „polityczna kuchnia" angielska jest bardzo niestrawna.

O tem, co się roztrząsa w Spaa, wiemy stosunkowo mało, gdyż koalicyjni mężowie stanu umieją trzymać język za zębami. Te zaś wiadomości, jakie podają nam nasze pisma codzienne od swych specyalnych korespondentów „z drutem i bez drutu", są też skąpe i bardzo często zupełnie sprzeczne.

I żal człowiekowi, że w składowych mężów, radzących nad dobrem świata, niema byłych posłów galicyjskich do austryackiego parlamentu, który stale wiedeńskich *smoków* z „Neue Freie Presse" i innych, jej podobnych pismideł, zasilali wiadomościami, nad czem zastanawiano się na *tajnych* posiedzeniach Koła Polskiego.

To jednak jest pewne, że ową osią, koło której obracają się wszystkie konferencye, jest sprawa niemiecka. Czyta się, że „Niemcy muszą być rozbrojone"... „Niemcy muszą zapłacić tyle a tyle miliardów odszkodowania"... przed każdą przecież konferencyą wyłaniają się jakieś trudności, których rezultatem jest dalsza zwłoka, celem powzięcia „ostatecznej decyzyi". To jednak powzięcie odkładanej stale na czas późniejszy i łatwo stać się może, że definitywne rozstrzygnięcie zostanie przesunięte na ogólne żądanie *ad calendas graecas*

Już to, przyznać trzeba, że Niemcy są mistrzami w wynajdywaniu różnych powodów, którymi motywują nie dotrzymanie warunków traktatu wersalskiego. Chodzi o redukcyę ich armii, wysnuwają plan, aby Koalicya dała im mandat do wystąpienia zbrojnego przeciw bolszewikom. W takim zaś razie trudno żądać od nich zmniejszenia armii, owszem należałoby pozwolić na dalsze zaciągi, aby tem prędzej urwali łeb hydrze.

Jak jednakże wyglądałaby ta akcya niemiecka przeciw sowieckiej Rosyi, z którą Berlin pozostaje z zażyłych stosunkach. Ten prawdziwy zdrowy chłopski rozum mówi, że „kruk krukowi oka nie wydziobie". Z tego punktu zapatruje się na tę sprawę i Lloyd George, który jest wrogiem Niemców, o ile oni na polu handlowem konkurują z Anglią, — bolszewików nie lubi tylko w Anglii, nie myśląc bynajmniej zrywać z rosyjskimi łączących go serdecznych „handlowych" nici... Niemcy *contra* Rosya bolszewicka, to byłaby woda na jego młyn. Wobec reszty świata dowodzi, że na ruch bolszewicki się nie zgadza, a w skrytości swego kupieckiego serca będzie zupełnie spokojny, że przyjaciele wzajem sobie nie wyrządzą krzywdy.

I, kto wie, czy konferencya w Spaa nie przyniesie nam podobnej niespodzianki. Takie załatwienie byłoby bardzo pożądane dla Koalicyi, do której zwróciła się Polska z prośbą o pomoc materyalną i moralną, twierdząc, że ma do tego słuszne prawo, broniąc resztę Europy przed czerwonymi pionierami postępu. W ten sposób uwolniłaby się Koalicya od potrzeby dania materyalnej pomocy, choć ją tyle razy obiecywała; skończyłoby się co najwyżej na „moralnej", to jest na wdrożeniu dyplomatycznych pertraktacyi, co zresztą Lloyd George już zapowiedział przez usta oddanej sobie prasy.

Jaki zaś skutek mają „pertraktacye dyplomatyczne", wie każdy, kto śledzi uważnie bieg wypadków. Wszak od szeregu miesięcy dyplomaci radzą, a owoców ich pracy nie widać, owszem, chaos i zamieszanie zwiększają się z dniem każdym. Zbyt prędkie uporządkowanie spraw światowych nie leży bynajmniej w interesie Anglii, zaopatrującej walczące ze sobą strony w materyał wojenny. Dopóki go nie wysprzeda po dobrych cenach, póty będzie strzydz i golić, aby do porozumienia nie przyszło.

Bolszewicy mają zresztą bardzo radykalny sposób na uspokojenie nerwów Lloyda George'a, o ile chciałby im rogi pokazywać. Wystarczy im zupełnie robienie „perskiego oka" w stronę Indyi, a Lloydowi w ten moment mięknie rura. Z krwiożerczego tygrysa (on się tak powinien nazywać, nie Clemenceau...) robi się potulny baranek, jedzący z ręki.

Tę indyjską słabość Lloyda George znają dobrze i Niemcy i bolszewicy i dlatego grają mu czasem na nerwach, a on wtedy tańczy według ich taktu.

— *A kto to bude platit?*... — zapytałby Czech. Naturalnie Polska, która na koalicyjnej pomocy gotowa wyjść, niczem ów Zabłocki na mydle. My to zostawimy i Koalicyi i Niemcom i bolszewikom i będziemy jeszcze kontenci, jeżeli się nikt więcej nie zgłosi z wyciągniętą ręką.

A pan Benesz przecież nie tak znów daleko i dlatego pewnego pięknego poranku możemy usłyszeć jego miły głos:

— *Pane Kolumbus!... i ja sem tady!...*

I jeżeli kiedy żałowałem, że Witos nie jest ministrem spraw zagranicznych, to właśnie dziś. Gdyby był w Spaa, może wpadłby w pasyę i rozpędził tę zgraję, która dybie na istnienie i rozwój Polski. A jeżeli Polski nie będzie, to gdzież będą rządzić chłopi?.. Potem mógłby ogłosić list do braci chłopów z wezwaniem, aby sobie to zakarbowali i z Koalicyą postąpili „po swojemu". Byłoby to bardziej na miejscu, niż sianie niezgody we własnym kraju z powodu zawiedzionych ambicyj.

Drugim punktem głównym konferencyi w Spaa to odszkodowanie, jakie Niemcy mają zapłacić sojusznikom.

Każdy, nawet Niemiec, przyznaje, że kto wyrządził szkodę, musi ją wynagrodzić. Oni też oświadczają, że gotowi są wypełnić w tym kierunku warunki traktatu pokojowego i zatkać gębę złotem wszystkim tym, których skrzywdzili, dodają jednak skromnie:

— Skąd jednak weźmiemy na to pieniędzy, gdy nam zabierzecie Górny Śląsk i Gdańsk, bez których nasz przemysł i handel obejść się nie może!...

Lloyd George, usłyszawszy te słowa, uderzył się palcem w czoło i rzekł do siebie:

— A jednak mają racyę!... Że też ja tego wcześniej nie powiedziałem!...

Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie, każdy polityk ma więc pełny rękaw różnych wykrętów, mogących mu ułatwić wykręcenie z tego błota, w jakiem się niepotrzebnie znalazł. Od tego zresztą jest polityka i dyplomacya, aby kręcić, a kto tę sztukę posiada, ten jest wielki.

A Lloyd George to wielki polityk i dyplomata, który — zresztą — dawno już zwęszył pismo nosem, i dlatego tak śpieszył się, aby nie przyznano przypadkiem Gdańska Polsce. Jego zastępca pan „wysoki" komisarz Tower, postępuje też w tym duchu i dlatego też skończy się na tem, iż na podstawie konwencyi polsko-gdańskiej będziemy musieli zaopatrywać Gdańsk we wszystko, dostaniemy zaś od niego... figę, choć one nad Bałtykiem się nie rodzą. Ale polityczne figi udają się wszędzie!

Zresztą nikt nie może przewidzieć, jaki jeszcze los Gdańsk czeka. Konferencya w Spaa ma się zastanowić nad tem i powzięła pono decyzyę, że należy wysłuchać żądań ludności gdańskiej, jakiej pragnęłaby administracyi. A również większość oświadczy się za tem, aby przywrócić łączność z resztą Rzeszy?... to nie jest wykluczone. O ile zaś rozchodzi się o Niemców, to Koalicya respektuje swe zasady o samostanowieniu ludów.

Gotowiśmy zatem doczekać się połączenia z Bałtykiem drogą... powrotną.

Z Górnym Śląskiem tak łatwo nie pójdzie. Tam terror niemiecki może zrobić swoje, dlatego też wszelkiego rodzaju międzynarodowe komisye zachowują się stale zupełnie „neutralnie", ale tylko w tym wypadku, jeśli chodzi o Polaków. Gdy naszych biją, władze okupacyjne „są bezsilne", gdy jednak źle się Niemcom wiedzie, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przychodzą do sił.

Sprawa Gdańska i Górnego Śląska wejdzie zatem pod obrady Koalicyi i daj Bóg, aby się to stało popołudniu, po dobrym obiedzie, gdy radzący będą w dobrych humorach i aby ją reprezentował ktoś, znający się na tem, a nie jaki Grek lub Belgijczyk, jak to było podczas poprzednich zjazdów.

Przez całe dwa tygodnie będzie zatem uwaga polityków zawodowych i kawiarnianych zwróconą na Spaa, i niejeden z nich znając swe zdolności, powie sobie: „Co za szkoda, że mnie tam niema!... Już ja potrafiłbym im poradzić!..

Z tego, jednak, co wyżej zaznaczono, łatwo może być ostateczny *eventus*, że Konferencya, zacząwszy się obradami, powie sobie i ogłosi światu, że nad różnemi kwestyami musi się jeszcze zastanowić, co zresztą zrozumie każdy, a zatem i na to się zgodzi, kto zna polskie przysłowie „wielkie rzeczy tworzą się pomału". Pośpiech zaś nie jest wskazany nigdzie (chyba przy ubieganiu się o dobrze płatną posadę... *przyp. zecera*).

I dlatego to kronikarz bardzo sceptycznie zapatruje się na całą politykę Koalicyi w ogólności, a na różnego rodzaju obrady i konferencye w szczególności i bardzo jest rad, że go tam nie zaproszono. Grzeczność nie pozwoliłaby odmówić, a dobre obiady i kolacye, na których radziłoby może jak pan Patek w Boulogne przy tymsamym stole co Millerand, nie zrównoważyłyby irytacyi i zdenerwowania, jakich nabawiłby się niepotrzebnie.

Najgorzej jednak, że na politykę wewnętrzną miejsca nie stało!... Ten temat zostawić musimy do przyszłego tygodnia, o ile naturalnie nic ważniejszego nie przeszkodzi omówieniu tych spraw, które aż się proszą, aby je „wziąć na papier".

Zatem... cierpliwości!... gdyż podobno „cierpliwość przynosi róże". I chociaż horoskopy na ogół niepomyślne — wszystko jakby się uwzięło na naszą kochaną Ojczyznę — nie zakładajmy rąk z rozpaczą — lecz wierzmy w ostateczne zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości, w imię której zawsze walczyli nasi praojcowie — a dzisiaj walczą prawnuki, śpiewając wesoło: — Choć burza huczy wkoło nas...

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Wieści z polskiego Pomorza.

Kiedy miałem sposobność uczestniczenia przy zajmowaniu Pomorza przez wojska polskie, gdy widziałem to ukochanie sprawy polskiej, którego Pomorze dało dowody w walce z niemczyzną odwiecznym wrogiem słowiańszczyzny, cięższej jeszcze niż w Poznańskiem, niezwykłą pracowitość Pomorzan, zapobiegliwość, uczciwość i wzorowy porządek, niepokoiła mię ciągła obawa, aby ci, którzy przyjdą tu z głębi Polski, jako obywatele i urzędnicy, godnie odpowiedzieli swemu zadaniu. Niestety obawy moje nie były płonne, dziś mam sposobność przekonać się o tem naocznie. Pomorzanie narzekają niestety słusznie, ukazując na niezbite dowody, że rząd polski tak w wyborze swego przedstawicielstwa w Gdańsku, jak i w pozostałej części Pomorza, poczynił straszne błędy; skargi na ludzi z domowem wykształceniem i na byłych c. k. radców dworu są niestety uzasadnione. Po latach strasznych walk z niemczyzną Pomorze chciało otrzymać od rządu polskiego prawdziwą pomoc do utrwalenia i pogłębienia polskości, a tymczasem ci, którzy tu przychodzą, przynoszą ze sobą frazes, karyerowiczowstwo, albo wprost i nieuczciwość, ośmieszając nas przed Niemcami. Czy w Polsce niema lepszych i godniejszych ludzi? Czy Niemcy nie wysyłają dziś na zagrożone ich granice najlepszych swych sił? dlaczego my zawsze mamy być mądrymi po szkodzie? Najbardziej przynosi szkodę sprawie polskiej na Pomorzu brak porządku w naszym Sejmie i rządzie i brak silnej ręki i stanowczości; jeżeli w tym względzie nie zajdzie zmiana na lepsze, to będzie to miało bardzo złe skutki dla naszego dostępu do morza, wobec możliwego, prędzej czy później wystąpienia zbrojnego Niemiec przeciwko nam.

Jeżeli mówimy o rzeczach nader przykrych, to musimy poruszyć i dodatnie, mianowicie ofiarność Pomorza, dla sprawy polskiej, która objawiła się w szerokiej agitacyi za pożyczką odrodzenia i o pracy kulturalno oświatowej w wojsku, którą prowadzi wydział prasy i wydział kulturalno-oświatowy DOG. w Grudziądzu. Na czele pierwszego stoi podpułkownik M. Dienstl Dąbrowa, dawny organizator legionów Hallera we Włoszech, na czele drugiego zaś podpułkownik Scibor-Rylski, a praca ta obejmuje nie tylko żołnierza, ale rozszerza się i na ogół społeczeństwa. M. Dienstl-Dąbrowa redaguje własnym przemysłem (a przeważnie i własnym nakładem) wspaniały ilustrowany miesięcznik *Straż nad Wisłą*, wydawany w Toruniu, obejmujący sprawy Pomorza, dostępu do morza, praw naszych historycznych do tej ziemi i t. d., a więc zadanie jego jest pierwszorzędnej dla nas wagi, a tem więcej godne pochwały, że prasa polska niedostatecznie objaśnia zagranicę o naszych sprawach a rząd polski niedocenia ważności tego rodzaju zadania. Podpułkownik Dąbrowa wpadł na doskonały pomysł urządzenia ruchomej wystawy reprodukcyi artystycznych dzieł naszych malarzy, pomysł rzeczywiście świetny, bo wystawa objeżdża miasta pomorskie i zaznajamia nietylko żołnierza i społeczeństwo ze wspaniałym dorobkiem kulturalnym naszych mistrzów, ale zapoznaje ich z widokiem naszych miast i wsi, ze zdarzeniami historycznemi, bohaterami i t. d., ale nadto poucza tutejsze społeczeństwo o zdolnościach polskiego ducha i polskiej kultury, która ma prawo do brania się za pasy z kulturą niemiecką. Wystawa ta ruchoma objechała już Toruń, Grudziądz i Puck, a obecnie będzie otwarta w Wąbrzeźnie.

W pracy tej dzielnie dopomagają znani w literaturze polskiej major E. Ligocki, podpor. R. Bergiel, (żołnierz z pod Kaniowa), i podpor. S. Hoffman, dawniejszy redaktor *Górnoślązaka Dziennika Polskiego* w Dortmundzie, *Gazety Grudziądzkiej* i *Wielkopolanina* w Pittsburgu, organizator drużyn sokolich i wojsk polskich w Ameryce.

Świetnie prowadzony jest też dział kulturalno-oświatowy, na czele którego stoi podpułk. Scibor Rylski. Wystarczy wspomnieć, że w ostatnim kwartale urządzono około 500 odczytów i pogadanek dla 95 tysięcy słuchaczy, głównie z dziejów i spraw żywotnych Polski, założono piętnaście bibliotek, które zgromadziły do 4200 tomów, wynik przy dzisiejszym braku książek, zwłaszcza na Pomorzu, niebywały. Referentem sportowym jest podpor. Wagner, który dopomaga doskonale przy urządzaniu obchodów narodowych, zorganizował kurs inspektorów sportowych i t. d. Referentem muzycznym jest sierżant Gilemberski, który urządza koncerty, wydaje zeszytami śpiewnik żołnierski, zakłada chóry i t. d. W ogólności armia polska może poszczycić się takimi wynikami oświatowymi, jakich nie posiada żadna inna, a praca na Pomorzu, żywo popierana przez naczelnika DOG., generała Roję, jest pierwszorzędna.

Niedobre wieści dochodzą z okręgów plebiscytowych. Niemcy nie przebierają w środkach, napadają zbrojno na komisye polskie, rozbijają siłą wiece, grożą śmiercią wszystkim tym, którzy oświadczają się za Polską. Podajemy ciekawy widok domu polskiej komisyi w Olsztynie, który musiano dla bezpieczeństwa otoczyć zagrodami z drutu kolczastego. W czasie plebiscytu dojdzie napewno do rozlewu krwi, jeszcze większego niż dziś, a w takich oko-



Wieści z polskiego Pomorza: Dom polski w Olsztynie, ochroniony drutami kolczastymi przed napadem bojówek Niemców.

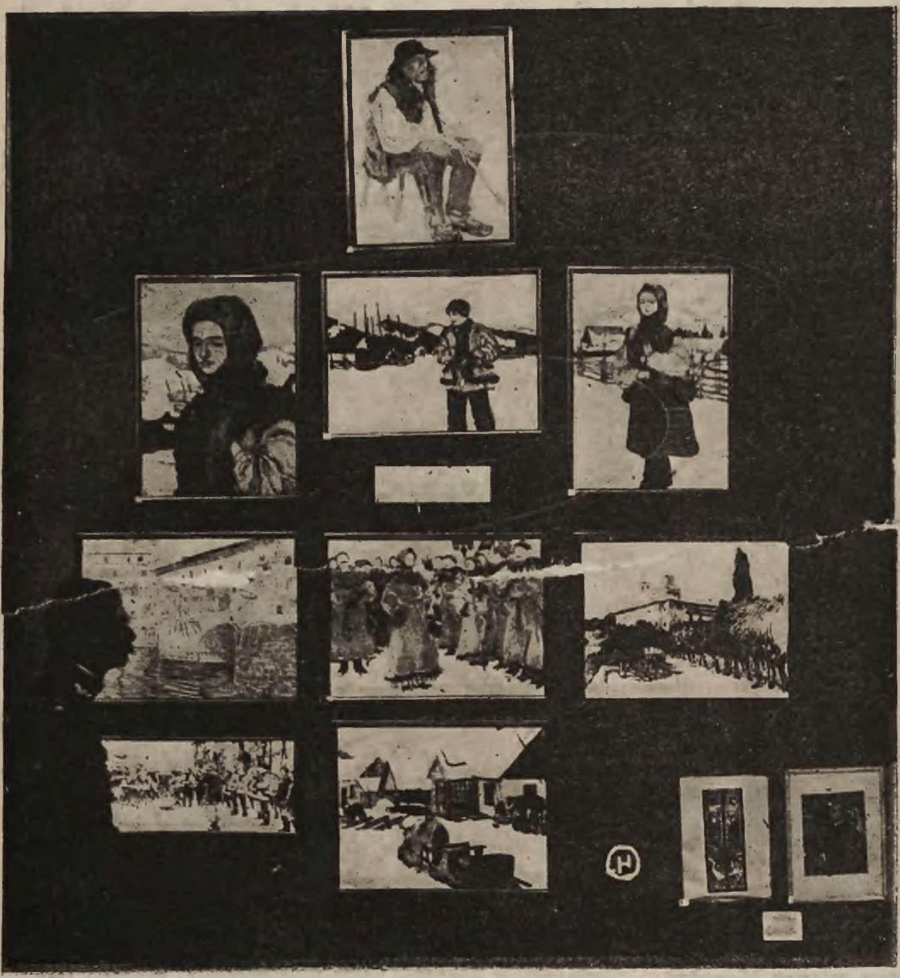


Wieści z polskiego Pomorza: Komisya graniczna polsko-gdańska w Żukowie. Członkowie gdańskiej komisyi: starszy burm. Sahm 1, przew. delegacyi gdańskiej Mutius (2).



Wieści z polskiego Pomorza: Ogólny widok Kwidzynia.

liczności ach trudno chyba stwierdzić prawdziwą wolę ludu, która jest celem plebiscytu. Sprawdzono, że z Niemiec wybiera się na plebiscyt do 100.000 ludzi, z czego do 75 000 będzie pod fałszywymi papierami; jeden tylko gorliwy polski komisarz graniczny Turnhjelm, zatrzymał kilka tysięcy nie prawnie udających się na plebiscyt.



Wieści z polskiego Pomorza: Fragment z wystawy reprodukcyj dzieł polskich artystów, urządzonej przez pomorskie D. O. G.

Zamieszczamy tu jeszcze podobiznę trzech członków gdańskiej komisyi granicznej, między którymi znajduje się osławiony burmistrz gdański Sahm.

Grudziądz 6 lipca 1920.

X. dr Tadeusz Kruszyński
prezes Małopolskiego Tow Kresów Pomorskich.

Zohydzanie Polski przez Niemców.

Niejednokrotnie wspominaliśmy już o niecnych sposobach, jakich używają nasi wrogowie w walce przeciw Polsce na terenach plebiscytowych. Tak Czesi jak i Niemcy nie żałują na to pieniędzy, zasypują też wprost Śląsk Cieszyński, Górny, Warmię i Mazury całymi stosami różnego rodzaju publikacyj, mających na celu zohydzenie Polski i przedstawienie jej w najczarniejszych kolorach w przeciwieństwie do „dobrodziejstw", jakie ludność czekają pod rządami niemieckimi. Ponieważ zaś na sfery mniej inteligentne działa się głównie drogą zmysłów, wysyłają się tak Czesi i Niemcy na nowe rozpowszechnianie antipolskich wydawnictw obrazkowych.

O tej działalności Czechów w Cieszyńskiem wspominaliśmy przed kilku tygodniami, następnie podaliśmy reprodukcyę rozrzuconej po Górnym Śląsku, a ostrzegającą tamtejszą ludność, że zbliża się śmierć jej dobrobytu, jeżeli połączy się z Polską.

Teraz przyszła kolej na Mazury i Warmię. I tamtejsi hakatyści poszli śladem swych kolegów z Górnego Śląska, a nawet grubo ich pod tym względem prześcignęli, ze względu na podatniejszy teren walki. Jakichże nie używali metod, wie każdy z doniesień pism codziennych. Doszło nawet do tego, że dom, w którym się mieści Komitet polski w Olsztynie, otoczyć musiano zasiekami z drutów kolczastych, nie mogąc się w inny sposób uchronić przed ciągłymi napadami niemieckich bojówek.

I tutaj odgrywają przy agitacyi plebiscytowej ważną rolę antipolskie wydawnictwa obrazkowe, które też między mało uświadomionymi narodowo Mazurami odnoszą skutek. Wychowani w pruskiej szkole, wierzą też święcie w to, co im podają ich dawni kierownicy. Polska agitacya nie mogła się niestety, należycie rozwinąć.



Zohydzanie Polski przez Niemców: Plakat agitacyjny, wydany przez niem. kom plebiscyt.

W niniejszym numerze podajemy reprodukcyę afisza, wydanego przez Niemców w Kwidzynie. Wykonanie niezbyt artystyczne, ale dość wymowne, aby cel osiągnęło.

Afisz ten nadesłał Redakcyi jeden z małopolskich kolejarzy, przeznaczonych obecnie do pełnienia służby w tamtych stronach, wyrażając swe oburzenie i prosząc o zaznajomienie licznych kół naszych Czytelników z podłą i podstępną antipolską agitacyą band niemieckich.



Pierwsze wszechpolskie regaty w Bydgoszczy: Przedstawiciele Koalicyi przyglądający się regatom.

Pierwsze wszechpolskie regaty w Bydgoszczy.

Polski sport święcił nowe tryumfy. Tym razem kolej przyszła na wioślarstwo, które na dzień 28 i 29 czerwca wysłało do Bydgoszczy swych przedstawicieli ze wszystkich trzech zaborów.

Przy pięknej pogodzie i olbrzymim napływie publiczności, zwiezionej kilkoma specyalnymi pociągami na miejsce regat, rozegrano w Bydgoszczy pierwsze wszechpolskie zawody wioślarskie z udziałem wioślarzy i wioślarek wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej. Rezultat jest następujący: Długość 1600 m. woda stojąca. Pierwszy bieg: dwójki wyścigowe, wygrało pięknym finishem warszawskie tow. wiosl. pod sterem Drewnickiego. Drugi bieg: czwórki klepkowe, wygrał ładnie o trzy długości Włocławek w czasie 7 min. 9 sek. pod sterem Młyńskiego Trzeci bieg: czwórki wyścigowe, wygrał A. Z. S. w Warszawie. Czwarty bieg: jedynki wyścigowe, wygrał Duchowski (Warsz. Tow.

wiośl.) po zaciętej walce w 7 min. Piąty bieg: wioślarek, wygrał Klub wioślarek warszawskich pod sterem p. Kozuchowskiej. Szósty bieg: czwórki wyścigowe o mistrzostwo Rzeczypospolitej, na sześciu startujących wygrali w świetnym stylu po zażartej walce na finiszu akademicy warszawscy pod sterem Nadratowskiego. Siódmy bieg: jedynki wyścigowe wygrał p. Zebre (Poznań). Ósmy bieg: czwórki klepkowe, wygrało warszawskie towarzystwo wioślarskie (sternik Nowakiewicz). Dziewiąty bieg: ósemki wyścigowe o mistrzowstwo Polski wygrali (6 minut 20 sek.) akademicy warszawscy na łodzi „Komendant" pod sterem p. Stefana Grodzkiego. Zwycięzców witała publiczność z niedającym opisać się entuzyazmem. Po zakończeniu regat odbyło się wspólne zebranie, na którem, po rozdaniu nagród spędzono czas w podniosłym nastroju. Podczas zebrania uczestnicy wysłali imieniem wszystkich polskich wioślarzy telegram z wyrazami hołdu dla Naczelnika Państwa, a nadto zwycięska osada akademików po zdobyciu mistrzowstwa Polski, przesłała depeszę do Naczelnika Państwa.

I Kraków nie został w tyle, w Bydgoszczy znaleźli się także i nasi dzielni wioślarze.

Szczęśliwsze położenie geograficzne pozwoliło klubom warszawskim, włocławskim, płockim i poznańskim na obfite obsadzenie wszystkich biegów, na sprowadzenie własnego materyału sportowego bez żadnych trudności.

Kraków ze względu na olbrzymie koszta ekspedycyi załóg na drugi kraniec Rzeczypospolitej nie mógł być tak reprezentowany, jak na to zasługuje wysoki poziom jego wioślarstwa.

Jakich zaś hartownych i śmiałych wioślarzy posiada Kraków, świadczy raid 500 kilometrowy jego czwórki w racebocie wyścigowym. Na łodzi takiej, technicznie niezmiernie trudnej i możliwej do użycia na krótkiej tylko przestrzeni, wśród przeciwnego wichru i ogromnej fali, grożącej ciągle zalaniem, wycieńczeni głodem, przebyli nasi wioślarze rekordową przestrzeń, nieosiągalną dotychczas w dziejach tego sportu.

Ta sama załoga, dotarłszy drogą wodną do Bydgoszczy, stanęła natychmiast do walki i nie ustąpiła mimo zmęczenia i zepsutej łodzi przeciwnikom świeżym i wypoczętym, choć wzięcie mistrzowstwa było w tych warunkach niemożliwe.

W skład tej osady AZS. wchodzili: Rudy, Leszko, Dutkiewicz, Adamek, W. Kowalski.

Amerykańskie święto narodowe w Polsce.

(Do illustracyi na str. 4.)

Dzięki wojnie i jej następstwom zacieśniły się bardzo nici, wiążące nas z drugą półkulą. Jak ongi, przed przeszło wiekiem, gdy Ameryka północna stawała do walki, by zrzucić ze siebie krępujące ją kajdany, w szeregach bojowników o wolność znaleźli się między innymi Kościuszko i Pułaski, tak znów teraz jakby spłacając dług wdzięczności, zaciągnięty wobec Polski, Stany Zjednoczone odegrały wybitną rolę przy oswobodzeniu nas z pęt niewoli. Nie tylko Polonia amerykańska pospieszyła tłumnie pod sztandary, całe amerykańskie społeczeństwo nie odmówiło nam moralnego i materyalnego poparcia, co trwa dotąd w dalszym ciągu. Śmiało rzec możemy, że Stany Zjednoczone Ameryki północnej liczymy do naszych największych dobrodziejów.

To też amerykańskie narodowe święto wolności, które przypada na dzień 4. lipca, obchodzono w całej Polsce nadzwyczaj uroczyście, chcąc w ten sposób dać dowód wdzięczności i sympatyi wobec naszego sprzymierzeńca. Święciła je Warszawa, święcił Kraków i Lwów, nie pozostały w tyle i inne miasta, pamiętając dobroczynną działalność amerykańskich komitetów ratunkowych, docierającą w najdalsze zakątki naszego kraju, a mającą na celu przedewszystkiem zajęcie się losem polskiego żołnierza i polskiego dziecka.

Lwowski Komitet zajmujący się urządzeniem obchodu, dołożył starań, aby dzień 4. lipca br. miał charakter święta narodowego polsko-amerykańskiego.

Ku uczczeniu święta narodowego amerykańskiego odprawiono nabożeństwo uroczyste w kościołach obu obrządków. Pod pomnikiem Mickiewicza odbyło się zgromadzenie oraz zebranie w sali ratuszowej. Pod pomnikiem przemawiał r. m. Bolesław Lewicki który wzniósł okrzyk na cześć Ameryki. W ratuszu przemawiał hr. L. Piniński, wznosząc okrzyk na cześć Ameryki, który powtórzono przy powstaniu z miejsc. Następnie prof. dr. Zakrzewski mówił o konstytucyi amerykańskiej, o cywilizacyi i prawach Ameryki. Chór „Echa" odśpiewał pieśni narodowe.



Pierwsze wszechpolskie regaty w Bydgoszczy: Prof. Zebre (Poznań) zwycięzca w biegu jednowiosłówek wyścigowych.

Pogrzeb ofiary rozboju czeskiego.

(Do illustracyi na str. 5).

Gwałty, jakich Czesi dopuszczają się na terenie plebiscytowym spisko orawskim, dochodzą już do ostatnich granic. Nikt nie jest tam pewien mienia ani życia, bojówki czeskie doskonale zorganizowane hulają bezkarnie, szerząc w okół postrach, żandarmerya czeska zachowuje się wobec nich „neutralnie" a podkomisya koalicyjna jest bezsilną, mając na całym Spiszu do swej dyspozycyi załogę francuską składającą się z jednego oficera i sześciu żołnierzy.

Polakom i ich zwolennikom wypowiedzieli tam Czesi walkę na śmierć i życie.

Ofiarą bandytyzmu czeskiego padł w drugiej połowie czerwca br. s. p. Józef Wizimierski, były profesor gimnazyalny ze Lwowa, ostatnio stenograf warszawskiego Sejmu. Bawił on na Spiszu na urlopie, biorąc tutaj udział żywy w pracy narodowej.

W czasie, gdy bandy czeskie szalały w Starej Wsi, prof. Wizimierski szedł z urzędnikiem pocztowym Karpińskim do Gołemberki. I tu bandyci czescy byli już zmobilizowani; w ich ręce dostali się obaj Polacy. W oczach żandarmeryi czeskiej zmasakrowano ich w okrutny sposób i wrzucono do Dunajca. Prof. Wizimierski utonął, Karpińskiego po stronie polskiej wyratował jakiś góral.

Zwłok zamordowanego szukano cały tydzień, a Czesi twierdzili, że to intryga przeciw nim skierowana gdyż Polacy ukryli Wizimierskiego, który żyje!

W ostatnich dniach czerwca wyłowiono zwłoki w Sromowcach i przeprowadzono obdukcyę, która wykazała śmiertelne rany na głowie i orzekła, że choćby nieszczęsliwego nie utopiono, w najlepszym razie groziła mu ciężka choroba mózgu. Ponadto ograbiono pobitego, ściągając nawet pierścionki z palców.

Zwłoki przewieziono do Łapsz Niżnich i tu odbył się pogrzeb ofiary w dniu 1 lipca br. Kondukt prowadził w otoczeniu licznego duchowieństwa Najprzew. ks. biskup Bandurski, który też przemówił nad grobem w gorących słowach. W smutnym obrzędzie wzięła liczny udział inteligencya z Nowego Targu i tłumy ludności. Podkomisya międzynarodowa wysłała też delegacyę, która na grobie zamordowanego złożyła wieniec. Mszę św. przy zwłokach odprawił ks Machay.

Wieść o potwornej zbrodni Czechów wstrząsnęła całem polskiem społeczeństwem, budząc wszędzie odrazę i oburzenie przeciw mordercom. W Sejmie warszawskim poświęcił marszałek Trąmpczyński gorące wspomnienie pamięci Zmarłego.

Padł jak żołnierz na posterunku pracy narodowej. Cześć Jego pamięci!...



Pierwsze wszechpolskie regaty w Bydgoszczy: Zwycięzcy „Mistrzostwa Polski" akademicy warszawscy, pod sterem Nadratowskiego, w czwórkach wyścigowych.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył R. Grünwald, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	ą	ą	b
b		e		e
g	j	k	k	ł
ł		n		o
o	o	o	o	o

Znaczenie wyrazów: 1. Ptak, 2. Minerał w bardzo niskim stopniu twardości, 3. Średniowieczny scholastyk.

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. Malski, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwisko polskiego współczesnego powieściopisarza:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – – – – –
■ – – – – –
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Imię męskie, 3. Herb polski, 4. Litera grecka, 5. Rzeka w Europie zachodniej, 6. Postać biblijna, 7. Przyimek, 8. Samogłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Malinowski, Lwów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

c, c, d, g,
k, k, m, o,
o, p, r, r,
u, u, y, y.

Znaczenie wyrazów: 1. Polskie miasto nad Bałtykiem, 2. Nieuprawne pole, 3. Amerykanin, który objeżdżał cały świat ze swym cyrkiem, 4. Półwysep w Europie południowo-wschodniej.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył K. Kot, Rzeszów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, b, c, d, d, e, e, e, i, i. i. m, m, n, o, r, t, u, w, w, y, z.

Bilety wizytowe.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z liter na biletach ułożyć nazwę miejscowości, gdzie się leczą te osoby:

A. BARK.

N. CIRAKY.

A. A. KOPENZ.

I. CZINOW.

C. LOSE.

Grzebieniówka.

Ułożył T. N., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda nazwę miejscowości, będącej marzeniem naszych sportowców:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
– – – – –
– – – – –
– – – – –

Znaczenie wyrazów: 1. Góry w Ameryce, 2. Strój rzymski, 3 Wschodni władca, 4. Postać z dziejów Anglii, 5. Bożek rzymski.

Przysłowiówka.

Ułożył W. W., Wierzchosławice.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) -c--e--a-u--o--a.
2) -a-i-a-, a-i--a-.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Maryan N., Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Pokrzywa i ciało, Koran, gig, n.

Zagadka literacka.

Ułożył Kandydat na ministra.

Początkowe litery tytułów utworów, wyszłych z pod pióra podanych pisarzy, utworzą nazwisko jednego z najgłośniejszych naszych współczesnych polityków (wyrób krajowy!...)

Przybylski ?
Krasiński ?
Kochanowski?
Mickiewicz ?
Wyspiański ?

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1, M. Bałuckiego: „Błyszczące nędze" (powieść), 2) Paczkę papieru listowego 25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 27.

Kwadrat magiczny: Wola, Owad, Lima, Adam.

Okienko: Erato, akcya, omega.

Przysłowiówka: Do świętego Ducha nie zdejmuj kożucha, a po świętym Duchu chodź także w kożuchu.

Bilety wizytowe: Kopenhaga, Konstantynopol, San Remo Londyn, Belgrad.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Fischer Kraków, M. Bilińska Kołomyja, J. Mroczek Stanisławów, H. Waligórski Tarnów, B. Lewicki Jasło, K. Radziszewski Warszawa, K. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Warszawa, M. Zak Kraków, L. Bogucka Warszawa, S. Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, M. Lewińska Stanisławów, J. Boczarski Lwów, M. Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, T. Nowicki Kraków, T. Ostrowski Kraków, S. Rosenbaum Rzeszów, S. Krzyżanowski Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, J. Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, S. Grabowski Wadowice, A. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, M. Kamiński Zakopane, M. Kozłowski Przemyśl, K. Fijałkowski Kraków, J. Nowak Drohobycz, M. Hanasiewicz Stanisławów, K. Dębiński Jasło, M. Ogińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadów, H. Dąbrowska Warszawa, H. Frasiński Bochnia, J. Zawadzki Kraków, H. Gruszczyński Tarnów, J. Remer Sambor, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, B. Wiśniewski Łańcut, S. Zakrzewski Sandomierz, J. Gross Bochnia, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, K. Borkowski Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, . Lipski Wiedeń, M. Sawicka Lwów, S. Zajączkowski Rzeszów, L. Wierzbicki Rozwadów, T. Niemiec Bochnia, L. Berger Lwów, J. Opolski Stanisławów, J. Drzewicki Warszawa, M. Wiśliński Kraków, M. Stachowicz Kraków, Ch. Zelwonibar Szydłowiec, P. Strzelec Władysławów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) B. Lewicki Jasło (książka), 2) S. Brodziński Kraków (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.